

# Camino de Santiago – by zrozumieć Europę

Piotr Bogdanowicz

**C**amino, czyli droga do Santiago de Compostela, którą miałem możliwość przejść i przeżyć, na którą zostałem wezwany, jest niezwykła pod każdym względem. Prowadzi ona do hiszpańskiej katedry o churriguerystycznej fasadzie, w której znajduje się grób św. Jakuba Większego, Apostoła Jezusa Chrystusa. Średniowiecznym zwyczajem wyruszyłem z progu własnego domu, by wejść w niezliczony pochód pielgrzymów, którzy na przestrzeni wieków zmierzali do tego sanktuarium, niosąc na swoich barkach ciężar własnego życia oraz spraw powierzonych im przez Kościół. Ta kilkumiesięczna wędrówka doskonale oddaje wielowymiarowość ludzkiego życia, ze szczególnym naciskiem na rzeczywistość duchową. To ona jest sceną, na której dokonuje się mniej lub bardziej świadome i wyrafinowane wykorzenianie *sacrum* z życia człowieka. To właśnie na nią Camino ma największy wpływ. To na tym szlaku Bóg w sposób szczególny pozwala wejść w siebie, podobnie jak uczynił to ewangeliczny syn marnotrawny, siedzący u koryta swojego życia, z którego jadły świnię, lecz on sam z niego nie mógł się pożywić. Fizycznie pokonywana droga daje możliwość podjęcia na nowo drogi do własnego serca, by w samotności (tej ludzkiej, gdyż Bóg jest wciąż obecny) i z odwagą stawić czoła panującym tam ciemnościom. Camino daje zatem szansę zbudowania od podstaw relacji z Bogiem i samym sobą, a w konsekwencji z drugim człowiekiem, wspólnotą i Kościołem.

Polska, Czechy, Niemcy (Bawaria), Austria, Włochy, Francja i Hiszpania – wszystkie te kraje stały się dla mnie tymczasowym domem, błogosławieństwem, a czasem także zagrożeniem. Przechodząc przez nie, musiałem zmierzyć się z ich kulturą, tradycją i historią. Trudno jest opisać sto dziesięć dni marszu w jednym, nawet bardzo długim, artykule. Każdy dzień jest nową przygodą,

nowym spotkaniem z Bogiem, drugim człowiekiem i samym sobą. Każdy dzień zasługuje na poświęcenie mu szczególnej uwagi. W tym tekście chciałbym jednak zebrać wszystkie moje przemyślenia dotyczące naszych południowych sąsiadów. Dlaczego? Ponieważ Czechy, choć są niewątpliwie krajem pięknym i wartym odwiedzenia, są nam praktycznie znane. Nasze opinie o tym narodzie często opieramy na prześmiewczych stereotypach, nie zdając sobie sprawy, jak wielki duchowy dramat rozgrywa się tam od dziesięcioleci. Marsz przez terytorium tego kraju dał mi wiele do myślenia. Pozwolił lepiej zrozumieć ogólne problemy, z którymi boryka się tamtejszy Kościół oraz naród. Sytuacja tam panująca w pewnym sensie dobrze oddaje stan, w jakim znajduje się Europa Zachodnia, poddająca się sekularyzacji, upadła na kolana przed skrajną poprawnością polityczną, nakazującą wyrzucić z życia publicznego, a ostatecznie także prywatnego, wszelkie przejawy *sacrum*.

Przejście ze wschodu na zachód Czeskiej Republiki zajęło mi dwadzieścia dni. Droga wiała się pośród malowniczo położonych miast i wsi, pól obfitych w zboża i maki oraz pięknych kaplic i kościołów, będących pamiątką po dawnym, żarliwym katolicyzmie tego narodu. Jednak panująca w nich pustka jest jednocześnie świadectwem dawnego grzechu pychy i braku pokory, tak ze strony ludzi Kościoła, jak i jego adwersarzy. Praktycznie codziennie rozmawiałem z ludźmi na temat historii ich kraju oraz ich stosunku do wiary i Kościoła. Byli to głównie pracujący tam kapłani, których otwartość, dobroć i hojność – wobec proszącego o pomoc pielgrzyma – przekraczała moje wszelkie wyobrażenia. Wieczorne i poranne dyskusje były długie i niezwykle interesujące, ponieważ wyłaniał się z nich obraz narodu oraz Kościoła, jakiego próżno doszukiwać się w oficjalnych i ogólnikowych charakterystykach tego kraju czy panujących stereotypach.

Problem Kościoła w Czechach i wiary w ogóle okazuje się być dużo bardziej złożony i wielowątkowy, niż to się może wydawać. Swoimi korzeniami sięga on XIV w., a kulminacyjnym momentem było spalenie na stosie Jana Husa 6 lipca 1415 r. (moja wędrówka przypadła właśnie na 600-lecie tego wydarzenia, które było wielkim świętem państwowym). Od tamtej pory aż do dziś Hus stał się symbolem oporu i buntu wobec Rzymu, Papieża,

duchowieństwa i podejmowanych później prób rekatalizacji. Aktualnie odczuć jednak można narastającą potrzebę rzetelnego rozliczenia historii Kościoła i Czech z wydarzeń minionych stuleci. Proces ten nabrał tempa po podróży apostolskiej św. Jana Pawła II w 1990 r. do ówczesnej Czechosłowacji. Przeprasił on wtedy za grzechy popełnione przez ludzi Kościoła w stosunku do Jana Husa i jego popleczników. Dla Czechów był to bardzo ważny sygnał. Z rozmów dowiedziałem się, że nawet wrogo do Kościoła nastawieni historycy wskazują jednoznacznie, że wina leży po obu stronach sporu. Trzeba jednak jeszcze wielu lat ciężkiej pracy duszpasterskiej, by na nowo odrodzić w narodzie czeskim świadomość obecności Boga w ich życiu i zrozumienie, że Kościół nie jest ich wrogiem. Problem polega na tym, że nie ma komu pracować na niwie Pańskiej, nie ma komu głosić Dobrej Nowiny, nie ma komu budować nowej świadomości wśród ludzi.

Dziesiątego dnia rano wyruszałem w dalszą drogę z bardzo ważnego sanktuarium maryjnego w Křtinach. Przedzierając się lasami na południowy zachód, miałem zamiar przejść przez Brno i dotrzeć do jednej z jego zachodnich dzielnic – Žebětína. Cekał tam na mnie starszy kapłan, który po odprawieniu Mszy św. poczęstował mnie kolacją, a następnie opłacił pokój w pobliskim hotelu. Plebania nie była w najlepszym stanie technicznym, sam zresztą przygotowywał się do przeprowadzki (prawdopodobnie ostatniej w swoim życiu). Był ciężko chory. Nie mógł dalej pełnić funkcji proboszcza tak dużej owczarni. Biskup postanowił odwołać go i przenieść do jednego z klasztorów, by tam mógł spokojnie pełnić funkcję kapelana. Długo rozmawialiśmy. Z ogromną pokorą, lecz nie bez bólu, przyjmował to wszystko, co przypadło dźwigać mu na swoich barkach. Pamiętam słowa, które wypowiedział: „Przyjdzie tu młodszy ode mnie ksiądz, zdrowy, pełen energii. Wierzę, że przez niego Bóg wynagrodzi moim parafianom to, że wskutek choroby nie mogłem w pełni zajmować się nimi”. Jednak to nie jedyne ważne słowa, które padły tego wieczoru oraz poranka następnego dnia. Usłyszałem coś, co już wcześniej było mi komunikowane przez kapłanów i czego jeszcze wielokrotnie przyjdzie mi wysłuchiwać. Zazdroszczą nam pręźnie działającego episkopatu, faktu, że biskupi reagują, ostrzegają przed niebezpieczeństwami, są zaangażowani w życie swoich diecezji. A tam? Epi-

skopat częściej milczy, niż się wypowiada, nie ostrzega i nie daje wsparcia kapłanom, będącym przecież na pierwszej linii frontu spośród ateistycznego świata (jeden z nich wyraźnie to stwierdził: „Nie mamy oparcia w naszych biskupach”). Nie chcę bynajmniej uogólniać, ale taki właśnie jest obraz, który wyłonił się z tych rozmów. Modłę się, by to był obraz błędny.

Sam ateizm w Czechach, można chyba to śmiało stwierdzić, jest – z jednej strony – ateizmem programowym, zaprowadzanym niegdyś systematycznie i z krwawą zawziętością przez władze komunistyczne, a wcześniej przez licznych wrogów Kościoła. Z drugiej strony jest ateizmem nie do końca szczerym, polegającym raczej na odrzuceniu katolicyzmu, którego z zasady się nie wyznaje (jest to żywe, głęboko zakorzenione w Czechach pokłosie sprawy Jana Husa, które brzmi: „wystrzegaj się Kościoła katolickiego”). Również wspólnoty protestanckie przeżywają głęboki kryzys, w wielu miejscach umierając z powodu braku wiernych. Często jednak wybór ten polega na odrzuceniu chrześcijaństwa, a przyjęciu... Tu właśnie zaczyna się problem. Odrzucając duchowość chrześcijańską, nie wypełnia się powstałej pustki niczym konkretnym, nawet prawdziwym ateizmem. Tym sposobem można spotkać na ulicy mnóstwo samochodów z zawieszonymi na lusterkach różańcami, które traktowane są jako kolejne talizmany mające przynieść pomyślność i szczęście. Powoływanie się natomiast na racjonalizm i zdrowy rozsądek kończy się częstymi wizytami w gabinetach różnego rodzaju wróżek czy bioenergoterapeutów, które niczym króliki mnożą się błyskawicznie w każdym dużym mieście.

W jednym z wywiadów słynny polski podróżnik Marek Kamiński, po swojej pielgrzymce do Santiago de Compostela, stwierdził, że Europa jest duchową pustynią. Nie zgadzam się z tym. Europa to nie pustynia, to nawet nie ugór, lecz odłóg. Ziemia niegdyś uprawiana, a dziś pozostawiona sama sobie, zarastająca chwastem oraz marnej jakości krzewami i drzewami, wystawiona na działanie erozji, chorób i szkodników. Brakuje rąk do pracy. Bo choć i na pustyni tli się życie, to Europa nią jeszcze nie jest. Wciąż tkwi w niej ogromny, głęboko zakorzeniony potencjał, który trzeba wydobyć. Próżno go szukać we współczesnej kulturze, społecznych inicjatywach, poprawności politycznej czy nawet

w churriguerystycznej fasadzie katedry w Santiago de Compostela. Bardzo wyraźnie natomiast uwidacznia się on właśnie na Camino, w pojedynczych spotykanych na szlaku osobach. Camino de Santiago staje się niejako jednym z ostatnich, wciąż działających i przynoszących owoce fragmentów wielkiego duchowego płuca, jakim jest Kościół zachodni. Niestety, jest to droga kompletnie niewykorzystana przez Kościół; droga, którą Kościół nie bardzo się interesuje, a w niektórych rejonach bywa, że jego ludzie działają na szkodę, odpychając swoją postawą pielgrzymów od Boga. Jest to istotne, ponieważ do grobu Apostoła wybierają się często osoby chcące na nowo poukładać rozbite kiedyś życie. Rosnąca popularność szlaków jakubowych każe się nad tym zastanowić. Osobiście uważam, że Camino de Santiago ma szansę stać się jednym z głównych filarów, na którym będzie można oprzeć nową cywilizację chrześcijańską w Europie. Pod warunkiem że zechcemy podjąć próbę jej zbudowania. ■